

Z wizytownika Andrzeja Bobera⁽⁵¹⁾

Ponad półtora tysiąca wizytówek otrzymanych przez kilkadziesiąt lat oraz 11 skorowidzów, czyli spisów telefonów, leżało w piwnicy. Pół wieku pracy w dziennikarstwie i nie tylko zapisane imionami, nazwiskami i telefonami ludzi... Dziś kolejne osoby, z którymi zetknąłem się osobiście.

Jan Nowak-Jeziorański i aleja Armii Ludowej

Byłem już szefem „Życia Warszawy”, a Jana Nowaka-Jeziorańskiego znałem od kilku lat. I zamarzyło mi się,

adres redakcji będzie brzmiał al. Armii Ludowej 3/5, o współpracy nie ma mowy, to trzeba zmienić”. Odpisałem: „Też jestem «za», ale sam tego zrobić nie potrafię, niech Pan pomoże. Proszę napisać artykuł z takim postulatem, a ja oddam go pod osąd mieszkańców stolicy”. Po tygodniu dostałem tekst, który ukazał się w gazecie 3 – 4 kwietnia 1999 r. Pan Jan pisał: „(...) rażącym przykładem jest fakt, że jedna z głównych arterii biegnących przez serce bohaterskiej stolicy nosi nazwę alei Armii Ludowej. Władysław Gomułka ujawnił w swoich pamiętnikach, że PPR

Nazwa ulic to forma uczczenia instytucji i ludzi, którzy oddali wielkie zasługi Polsce. Jest to swego rodzaju pomnik postaci wyniesionych na piedestał jako wzory do naśladowania (...). Dekomunizacja ulic nie jest niczym innym, jak odkłamaniem przeszłości. Ten postulat nie powinien wypłynąć z jakiejś antykomunistycznej zacieklności, ale z troski o polską demokrację”.

Czekałem na odzew czytelników, a ci – w przeważającej większości – dawali odpór. Pan Jan dzwonił z Nowego Jorku, pytając „no, jak tam?”, a ja nie wiedziałem, co odpowiadać. Kluczyłem tak parę tygodni, wreszcie wyznałem, że – jak wynika z nadesłanych listów – większość jest „przeciw”. Pan Jan nie chciał wierzyć: to niemożliwe. Też trudno było mi to zrozumieć, ale jednak. Złożyłem wszystkie listy w paczkę i wysłałem do Nowego Jorku. Przez jakieś dwa miesiące trwała cisza, wreszcie Pan Jan przysłał artykuł o korzyściach dla Polski ze wstąpienia do Unii Europejskiej. O zmianie nazwy alei Armii Ludowej – ani słowa. I już nigdy, nawet po powrocie Pana Jana do kraju, nie wracaliśmy do tego tematu. A do gazety pisał dalej.

Jerzy Pomianowski i „Archipelag Gułag”

„Prof. Jerzy Pomianowski pokazuje, jaka jest Rosja naprawdę i jak powinno kształtować się stosunki z nią i naszymi sąsiadami na Wschodzie. Mało jest osób tak kompetentnych w tej dziedzinie” – pisał już przed laty Jerzy Giedroyc. Gdzieś w połowie lat 70. zdobyłem wydany przez paryską „Kulturę” „Archipelag Gułag” Aleksandra Sołżenicyna. Tłumaczem był Michał Kaniowski, a sama książka była w ówczesnej Polsce drukiem zakazaną. Gdy bez końca opowiadałem znajomym

o okropnościach życia w Związku Radzieckim opisywanych przez Sołżenicyna, nieraz słyszałem ironicznie: to weź to i wydrukuj. Po 4 czerwca 1989 r. wróciłem do tego: byłem wtedy współwłaścicielem małej drukarni utrzymującej się z produkcji nalepek „piwo-wino” i postanowiłem wydać właśnie „Archipelag Gułag”. To było, jak na moje warunki, dość ambitne zadanie. Poza tym, jak uzyskać od Sołżenicyna zgodę na wydanie? Przyjaciel Jurek Redlich powiedział mi, że zna tłumacza książki. – Michała Kaniowskiego? – Nie – odpowiedział Jurek. – Tłumaczem jest Jerzy Pomianowski, a to moja rodzina. Kaniowski to pseudonim. Więc my do Pomianowskiego (mieszkał w Rzymie), ten do Sołżenicyna (mieszkał w Anglii). Sołżenicyn chce naszego świadectwa moralności. Papiery takie Pomianowski wydaje, a Sołżenicyn mówi: „Zgoda, ale stare wydanie muszę uzupełnić aktualnościami”. Uzupełnia rozdziałami. Pomianowski tłumaczy i wysyła do mnie. Gdy jest wreszcie wszystko – drukuj! Spod wystłużonej maszyny Heidelberga wychodzi pierwsze w Polsce legalne (a więc za zgodą autora) wydanie „Archipelagu Gułag”. Pierwszy nakład – 100 tysięcy – sprzedaje się na pniu, robię dodruk – następne 100 tysięcy. Jest maj 1990 r. Czy ktoś już dziś pamięta, że wydawcą książki było Nowe Wydawnictwo Polskie? Otóż pamięta. Tym kimś jest profesor Jerzy Pomianowski, któremu podpisałem zlecenie na wypłatę. Za nią tłumacz kupił sobie mieszkanie w Warszawie. Gdy mu to dziś przypomniałem, mówił: – Mieszkanie? To chyba za dużo powiedziane, to jest mieszkanko, taka garsoniera. Niech będzie.

Za tydzień: Zbigniew Lew-Starowicz i Władysław Kędra



Fot. Adam Tuchliński/Reporter

by „Kurier z Warszawy” zaczął pisać do mojej gazety. Na firmowym blankiecie gazety wysłałem stosowne zaproszenie, by po kilku godzinach (poczta e-mail) otrzymać odpowiedź: „Dopóki

(także jej zbrojne ramię – Armia Ludowa) na zewnątrz występowała jak organizacja niezależna, a potajemnie podporządkowana była zwierzchnictwu Kominternu, a później Kominformu (...).